

NA JAMPOLSKIM SZLAKU¹

Mniszew leżał na dawnym trakcie lubelsko-lwowsko-wołyńskim – pisze Michał Kowalski² w „Dziejach Mniszewa” – przetaczały się po nim wojska w czasie wojen i w powstaniach. Przejeżdżali również tym traktem udający się w podolskie i wołyńskie. Często też tędy wiódł szlak króla Jana Sobieskiego oraz biskupa Ignacego Krasickiego, prowadzący do ich dóbr na Rusi...

Trakt ten biegł przez Tamopol, Zbaraż, Wiśniowiec, Katerburg, Jampol, Teofipol, i dalej w kierunku Płoskirowa i Kamieńca Podolskiego. Była to droga gruntowa, a jako trakt pocztowy dobrze utrzymana. Szeroka na 40 sążni (ok. 60 m), - po obu stronach obramowana wysokimi nasypami.

Tędy w czasie powstania listopadowego ciągnął z wojskiem gen. Józef Dwernicki i dotarł aż do mojej rodzinnej Białozórki. W czasie powstania styczniowego, w zimowe miesiące, piechoty i konne oddziały powstańcze czyniły tu zasadzki na jadące do Zbaraża oddziały carskiej kawalerii. Na zaśnieżonym trakcie, w krótkich, a krwawych potyczkach, w walkach wręcz, ginęli carscy, ale słabo uzbrojeni w stare pistolety, szable i lance, ginęli też polscy powstańcy.

Później trakt ten zwano „sybirskim”, jako że tędy szły kibitki z patriotami, którzy nigdy nie chcieli pogodzić się z utratą tych ziem...

Na tym trakcie, a jak tam inni mówili: „Na Jampolskim Szlaku”, na dwunastym kilometrze, na pld.-wschód od Krzemieńca, leżała wieś Rybcza. Jej najstarsi mieszkańcy nie znali swojej historii i nie wiedzieli, jak dawno ich pradziadowie przywędrowali w

te strony i skąd ich wiatry przyniosły. Być może ziemię tę otrzymali z nadania królowej Bony, a może jeszcze wcześniej, jako że już za Kazimierza Wielkiego, w roku 1349, nastąpiło wcielenie do Polski ziemi przemyskiej, lwowskiej a także ziemi krzemienieckiej.

Wybierając swoją życiową przystań ludzie osiedlali się w pobliżu Krzemieńca, omal że w cieniu Góry Królowej Bony. Tam bowiem była najbardziej żyzna ziemia, która od początku stanowiła rację ich bytu. W pobliżu mieli też sporo starych, dorod-



Przy drodze „Na Jampolskim Szlaku”. Do dziś jakimś cudem uchowała się wśród zarośli stara chałupa - resztki polskiej wsi Rybczy. 5 V 1989 r.

nych lasów, dających budulec i opał oraz te pomniejsze dobra leśne, jak jagody, maliny, grzyby i orzechy. Było tu też parę stawów, a w nich królestwo ryb. Od lat mieli je na swój skromny stół, a przede wszystkim na stół pański; być może – od tych ryb kiedyś przystała do nich nazwa Rybacze, która za pamięci ich ojców przemieniona została na Rybczę.

W Rybczy mieszkało 189 polskich rodzin, a wśród nich jedna rodzina żydowska, która prowadziła sklep spożywczy. Bywało, że w dawnych czasach duże szkody i niepo-

koju sprawiały im watahy zgłodniałych wilków. Ale na co dzień żyło się tu cicho i spokojnie. Od wieków ludzie pracowali na roli, uprawiali żyto i ziemniaki, a o swoim szlacheństwie już bodaj dawno zapomnieli. Żyli pracą, chlebem i modlitwą.

Po 1920 roku, po odzyskaniu niepodległości, za przykładem innych wołyńskich miejscowości, życie mieszkańców Rybczy znacznie się ożywiło. W środku wsi stanął piętrowy, murowany budynek szkolny. Od strony południowej górował nad naturalną, wysoką skarpą, z daleka czerwienił się stromy dach, kryty karbowaną dachówką, wyraźnie dominował ponad wiejskimi zabudowaniami, a nawet wydawał się być wyższy, niż był w rzeczywistości. Od początku służył nowo powstałym organizacjom, a bliskość granicy sowieckiej i wieloletnia świadomość zagrożenia od wschodu była powodem specjalnego wysiłku wychowawczego w szkole.

I w tym nowym obrazie wsi zapracowani wiecznie rybczanie doczekali się tragicznego 1939 roku. W sierpniu 39 roku przypadała 25-ta rocznica wymarszu I Kompanii Kadrowej w 1914 roku z Oleandrów w Krakowie. Dzień ten postanowiono w Rybczy uczcić postawieniem dużego, drewnianego krzyża – pomnika wzniesionego na wzgórzu tuż obok szkoły. Umieszczono na nim napis: „**6. VIII. 1914 – 6. VIII. 1939**”.

Niestety biegu historii nie dało się już zatrzymać. Dla polskiej ludności Wołynia i całych Kresów Wschodnich dzień 17 września 1939 roku był dniem wielkiego zaskoczenia. Jampolskim traktem, na wschód przez Rybczę ruszyły długie kolumny polskich jeńców. Dla Polaków nadszedł czas ponownych prześladowań, rewizje, aresztowania, wywózki na Sybir. Dotknęło to głównie policjantów, urzędników i wszystkich osadników wojskowych. 10 lutego 1940 „sybirskim” traktem w zimową, mroźną noc, ciągnął długi sznur sań, wypełnionych zesłańcami. Zapelniało się też strzeżone przez NKWD krzemienieckie więzienie, w

którym na Polaków czekało ciężkie śledztwo, głód, tortury i wyroki na długoletnią zsyłkę do łagrów, lub te najśrodsze, zwane „wyszka” – czyli stryczek!

Wczesną wiosną 1941 r. władze sowieckie powołały do wojska dwa roczniki: 1917-18. Z Rybczy zabrano 10 osób, które do swoich rodzin nigdy nie powróciły.

W czerwcu 1941 roku od zachodu rozległy się armatnie wystrzały. Niemieckie samoloty bombardowały Krzemieniec. 2 lipca o świcie otworzono bramy krzemienieckiego więzienia. Ludzkie cienie ustawiono w kolumnę. Rozpoczął się długi marsz na wschód. Pod eskortą 20 enkawudzistów i 10 psów wilczurów pędzono ich środkiem drogi. Za nimi pociągnęły zarekwirowane furmanki z bagażem. Jeszcze przed wschodem słońca doszli do wsi Folwarki Wielkie. Mieszkaniec futuro Józef Micewski rozpoznał w kolumnie swego wujka, Wawrzyńca Niwińskiego z Rybczy. Pobiegł na przełaj przez pole, powiadomił rodzinę. Enkawudziści nie dopuszczają rybczan do więźniów. Węzłki z żywnością nie docierają do ich rąk. Psy biegną z wyciągniętymi jęzorami, warczą, szarpia za nogawki. Miasteczko Katerburg, za nimi 20 kilometrów drogi. Byli przemęczeni i głodni. Słońce piekło, konwojenci głośno kłeli, psy gryzły po nogach, a tych pozostających w tyle „uszcześliwiały” strzały z pistoletu. Pozostawali na zawsze na „Jampolskim szlaku”, znaczyli drogę niczym kamienie milowe. Około godz. 15 są w Zahajcach Wielkich. Tu cień i pewna ulga. Krótki postój - rozdano „pajok” - 150 gr chleba i kubek wody - i w drogę...

Zdziesiątkowana kolumna przed nocą dotarła do Jampola. Resztką sił dopadli do wody. Pili długo, wymiotowali i znów pili, nie słyszeli krzyku konwojentów i ujadania psów. Potem stacja kolejowa, wagony towarowe, kierunek Szepetówka, Płoskirów, Kamieniec Podolski, Kursk i dalej na wschód, na Ural do Złotousty - w głąb „Kraju Szczęśliwości”... Wyglądali przez

zakratowane okienka, zastanawiali się kto z nich powróci, a kto pozostanie tam na zawsze?...

Czas biegł szybko, na kartach historii powstały kolejne zapisy. Już następnego dnia przez Rybczę przejechały czołgi z czarną swastyką, a w budynku szkolnym zatrzymał się oddział żandarmerii. We wsi zrobiono rewizję, przeszukano domy. Z jednej z piwnic wyprowadzono trzech sowieckich żołnierzy i pięciu Polaków, wśród których trzech było w starych, wojskowych mundurach. Sąd był krótki - wojenny. Żołnierzy sowieckich rozstrzelali pod skarpą, a Polaków na górcze, w pobliżu krzyża-pomnika.

„Jampolskim traktem” lawina wojsk niemieckich parła na wschód. Ukraińcy, zafascynowani nową władzą utworzyli policję, która rozpoczęła współpracę z Niemcami. Jesienią 1942 roku, w całym województwie wołyńskim, pojawiły się łuny pożarów. Na wiosnę 1943 roku wzrosła liczba napadów na polskie rodziny. Banderowcy i bulbowcy wciąż dawali o sobie znać.

Rybcza pozostawała jak oaza pomiędzy wioskami ukraińskimi. Wskutek przeprowadzonej komasacji wieś była rozproszona, więc zorganizowanie w niej samoobrony nie było łatwe, ale stało się koniecznością. Rybczę otoczono placówkami, czuwającymi w dzień i w nocy. Mieszkańcy wsi z reguły na każdą noc chronili się w szkole, która miała być głównym bastionem obrony. Na komendantów wybrano Franciszka Mytkowskiego i Marcina Mysłowskiego. Z różnych zakamarków powyciągano ukrywaną dotąd broń, a brakujące części dorabiano gospodarskim sposobem. Broń kupowano nawet od Niem-

ców!... Pojawienie się samoobrony było Niemcom na rękę. Nie tylko zaakceptowali jej istnienie, ale nawet na złożoną prośbę, broń obiecali i jeszcze przed Świętami Wielkanocy do Rybczy przywieźli 12 krótkich karabinów francuskich i po 20 szt. naboji. Przyznana broń była też parawanem dla posiadanej już własnej...

Nieszczęście na Rybczan spadło nagle w lipcu 1943 roku. Wybuchła silna epidemia tyfusu. Brak lekarstw, środków opatrunkowych i higienicznych oraz służby lekarsko-sanitarnej utrudniał walkę z gwałtownie rozszerzającą się epidemią. Szpital w Krzemieńcu nie był w stanie udzielić większej pomocy. Przyjęto tam zaledwie kilku chorych. Wiele osób, pozostających bez opieki medycznej, w krótkim czasie zmarło. Pochowano je na cmentarzyku w pobliżu szkoły.



Mój Boże - tylko tyle pozostało z małego cmentarzyka w Rybczy. (Wiktor Dąbrowski z córką Danutą i mieszkańcem Szumska) 5 V 1989 r.

Nie zważając na epidemię tyfusu, do Rybczy wciąż przybywali uciekinierzy z pobliskich okolic, aby schronić się pod skrzydła polskiej samoobrony. Przynosili tragiczne wieści. W Rybczy też spodziewano się napadu i przygotowywano się do obrony...

Była jasna, księżycowa noc 3 sierpnia 1943 roku - zapamiętał Stanisław Sekuła.

Jedna z takich, jakie bywają tylko w lipcu i w sierpniu. Hasłem do rozpoczęcia napadu było podpalenie rzeźni w Katerburgu. Łunę pożaru widać było daleko. Około godz. 23 Rybcza została otoczona i ostrzelana przez duży oddział napastników, którzy z marszu próbowali opanować całą wieś. Rybczanie przywitani ich silnym ogniem z broni palnej i to ostudziło pierwszy atak banderowców. Pod ich naporem obrońcy stopniowo wycofywali się w stronę szkoły, równocześnie sprawdzając, czy wszyscy mieszkańcy zdążyli uknąć z swych domów. Niektórych napad zastał w łóżku, w głębokim śnie. Byli przerażeni, zabierali tylko to, co mieli pod ręką i uciekali do szkoły.

Banderowcy też zanadto nie ryzykowali swoim życiem - posuwali się powoli, krok po kroku, i tak doszli do pierwszych zabudowań, które zaraz zaczęły płonąć. W ogniu rozszerzającego się pożaru napastnicy ruszyli na środek wsi i podpalali kolejne budynki. Słychać było jakieś wołania, krzyki, z obu stron rozterkotały się karabiny. Środkiem wsi biegli ludzie, unosząc ze sobą resztki uratowanego dobytku. Syrena alarmowa zawodziła na całą okolicę. Psy wyły. W zamkniętych oborach, w chlewkach paliły się konie, świnie i bydło. Większość mieszkańców i uchodzący z placówek obrońcy na czas schronili się w szkole. Starsi szykowali się do pomocy młodym, byli gotowi bronić się do upadłego. W przygotowanych obok szkoły okopach przyczaili się najlepsi strzelcy. Naturalną fortyfikację tworzyła wysoka skarpa, dając możliwość skutecznej obrony w przypadku bezpośredniego ataku od południa - więc szkoła była trudna do zdobycia. W trzech punktach, w murowanych budynkach otoczonych okopami zaczęli się obrońcy i celnymi strzałami studzili zapal napastników. Ukraińcy kryli się w chaszczach i za półkolkami zboża. Słychać było, jak głośno klęli, ale do ataku z bliska nie przystąpili. O szarżowce zaczęli wycofywać się. Zbierali swoich rannych i zabitych...

Wzeszło poranne słońce. Rybczanie mogli obejrzeć skutki nocnego napadu. Okropny widok sprawiła pogorzeliśka. Spłonęły 42 budynki, w oborach i stodołach spaliło się sporo dobytku. Po wielu domach pozostały tylko kikuty kominów, ale na szczęście w ludziach większych strat nie było: zginęły cztery, a kilka osób zostało rannych.

Napad wywołał jednak wielką trwogę wśród mieszkańców. Po żniwach niektórzy pogorzeliścy z resztkami swego dobytku wynieśli się do Krzemieńca. Aby powstrzymać pozostałych dowódca samoobrony, Fr. Mytkowski przemówił do zgromadzonych rybczan i przekonał ich, że nadal są zdolni bronić się przed banderowcami.

Przeminała jesień, nadeszła wczesna i śnieżna zima. Święta Bożego Narodzenia upłynęły spokojnie, bez obaw, po ludzku. Kolęda roku 1943-44 nie była wesoła, ale opłatek dawał nadzieję doczekania końca wojny. Do wsi zaczął się zbliżać front rosyjsko-niemiecki. 21 marca 1944 roku Sowietci zajęli Krzemieniec, a 23 marca mężczyźni z Rybczy, podlegający służbie wojskowej, udali się do Dederkał na Komisję Poborową. Najpierw skoszarowano ich w jakiejś wsi koło Jampola, potem załadowano do wagonów i odtransportowano do punktu zbarnego Wojska Polskiego, w miejscowości Sumy.

Franciszek Mytkowski i sołtys Maciej Mysłowski zostali w Rybczy, gdyż władze „rejonu” w Dederkałach wyznały ich na wiejską władzę. We wsi pozostali już tylko kobiety, dzieci, podrastająca młodzież i mężczyźni po 50-ce.

Na początku kwietnia Mytkowskiego i Mysłowskiego wezwano do „Rejonu” w Dederkałach. Pojechali wozem: furmanił Piotr Niviński. W drodze powrotnej - jakby coś złego przeczuwając - ominęli Katerburg, wybrali trasę nieco dłuższą i właśnie tam wpadli w zasadzkę. Później ktoś doniósł, że widziano ich we wsi Wilia. Zginęli

tam śmiercią męczeńską; mówiono, że wszyscy trzej zostali ukrzyżowani. Stało się to 9 kwietnia 1944 roku - akurat w Wielki Piątek... Na trzeci dzień samotnie przywłókł się koń z zaprzęgiem Niwińskiego.

czeni życiem - mówią, że niewiele już pamiętają. A może już nie chcą pamiętać... I powiadają, że jeszcze dziś się boją...

Rybca jako wieś już nie istnieje. Pozostało po niej tylko parę budynków. W jed-



W tym miejscu stał kiedyś nasz dom - opowiada Wiktor Dąbrowski. 5 V 1989 r.

- „Święta Wielkanocne spędziliśmy w wielkiej żałobie i płaczu - wspomina Jan - syn Mytkowskiego. - Szczególnie ja rozpaczałem. Wciąż miałem przed oczami obraz ich nieszczęsnego wyjazdu i wzajemnie machanie rękami na pożegnanie. Stałem wtedy za domem i patrzyłem w kierunku Wili. Zdawało mi się, że oni jeszcze wrócą. I długo nie mogłem w to uwierzyć, że już nie mam Ojca”...

Na wiosnę 1945 roku mieszkańcy Rybczy dostali nakaz przesiedlenia i 17 maja z tobołkami z resztą dobytku opuścili wieś. Ksiądz kanonik Dominik Wyrzykowski - proboszcz Katerburga - zebrał ostatnich parafian i razem z nimi powędrował na Ziemię Zachodnie. Większość Rybczan razem z ks. Wyrzykowskim osiedliła się w Mąkoszycach w pobliżu Opola. Ksiądz Wyrzykowski tam im proboszczował. Zmarł 19.12.1967 roku. Spoczywa na miejscowym cmentarzu.

Wielu Rybczan też umarło, a inni, jeszcze żyjący ludzie starzy, schorowani, zmę-

KRESOWE STANICE

nym z nich zamieszkuje ukraińska rodzina, przesiedlona z Hrubieszowa. Budynek szkolny rozebrano, a wysoka skarpa w tym miejscu jakby się obniżyła. Czasem wśród drogi trafia się jakaś porośla chwastami ruina, jakieś resztki zabudowań, jakieś samotnie rosnące drzewo, na którym przysiadzie zbłąkany ptak. A na starym cmentarzu chyli się jeszcze parę drewnianych, nadgniłych krzyży. I to wszystko, co pozostało z dawnej polskiej wsi Rybczy, leżącej na „Jampolskim Szlaku”...

¹ Jest to fragment „Niedokończonego Pamiętnika” - pracy, która na konkursie zorganizowanym przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich w styczniu 1995 r. otrzymała „Wyróżnienie Honorowe”.(E.B)

² Dr hab. Michał Kowalski - profesor SGGW w Warszawie, zmarł 2 lata temu.